



Odlot. A to Polska właśnie?

"Odlot" - reż. Anna Augustynowicz - Teatr Współczesny w Szczecinie

Anna Augustynowicz, żegnając się po 30 latach ze stanowiskiem dyrektora artystycznego szczecińskiego Teatru Współczesnego, wita nas „w progach samolotu Sławnych Linii Lotniczych Dawne Bohaterzy, A rozmach jego skrzydeł czterdzieści i cztery."

Radzę ściśle i dokładnie zapiąć pasy, bo lot będzie niezwykle turbulentny, jak na dogłębną anatomię polskiej duszy, rozpiętej między romantycznym mitem a miernymi realiami, przystało. Aeroplan jest bowiem obciążony, choć uczciwiej byłoby rzec przeładowany, nadbagażem narodowych traum, pęknięć, pogardy przechodzącej niepostrzeżenie w nienawiść, całym immanentnie kreatywnym katalogiem polskich grzechów kardynalnych. Nieskończonym, niestety. Podróż zatem jest traumą kolejną. Dla twórców i widzów, osadzonych po obu stronach lustra, w przestrzeni, w której scena i widownia są ludzko podobne do siebie. Augustynowicz podaje nam zwierciadło krystalicznie czyste, swoistą tabulę rasową, uczciwym, ale zdecydowanym gestem mówiąc: Widzicie? Siebie widzicie...

Poemat dramatyczny Zenona Fajfera to tekst znakomity, zwarta kondensacja znaczeniowych cytatów, błyskotliwych trawestacji i ironicznych parafraz dwusetletniego dorobku twórców zatroskanych stanem polskiego ducha, kondycją polskości. Genialna, jest inspirowana Mickiewiczem instrukcja bezpieczeństwa narodowego lotu, w stale towarzyszącej biało-czerwonej mgłę, z której nie sposób wylecieć, jakby piloci, z uporem godnym godniejszej sprawy, stronili od widoku słońca, przecież lepiej jak p***da jest.

Mamy i Wyspiańskiego, od ponad stu lat przestrzegającego przed konsekwencjami atrofii woli zmiany i odrzucenia pęknięcia nacji. Oglądamy przecież „Wesele” nie rozumiejąc, czy może nie chcąc zrozumieć jego przesłania, co tutaj dobitnie wybrzmiewa w sarkastycznej frazie o weselu i poprawinach. W szczecińskiej inscenizacji słyszymy echa słów Norwida, Boya, Gombrowicza, ale i Tuwima, Broniewskiego, Brzechwy, Kantora i Kaczmarek – choćby w jakże gorzkim refrenie „Podaj cegłę, warczy brat, mieszaj zaprawę, dodaj krat”, bo rzecz jest przecież przede wszystkim o ztracie poczucia wolności, podziale, pęknięciu, któremu hipnotycznie i bezkrytycznie ulegamy, hołdujemy wręcz, widząc w tym co dzieli wartość przewyższającą zgodę, pozwalającą tyleż groźnie co groteskowo wywyższać się depozytariuszom jedynie słusznej, dogmatycznej, objawionej prawdy narodowej, gardząc równocześnie innymi. A to Polska właśnie... Szkoda, że nie taka, o jakiej marzył Wyspiański.

Dramat Fajfera ma rewelacyjną, rewolucyjną wręcz narrację, podaną językiem ostrym, odważnym, szokującym, po bandzie, jak to się w świecie popkultury ujmuje, ale właśnie o to tu idzie, by mowa wstrząsnęła, skruszyła lawę, w końcu sam Wieszczyk plwać na nią zalecał. Autor „Odlotu” przejmująco pisze o pasażerach tego oniryczno-naturalistycznego rejsu - „Byście mogli powrócić do swojej Itaki, Byście mogli bez końca z Itaki uciekać, Z jednej otchłani w drugą, Z Polaka w człowieka”. Prawdziwa to liberatura, lektura obowiązkowa tych co chcą się wyzwolić z przyciasnego, zetlałego zresztą gorsetu, gdzie empatia nie mieszka, a to przecież ona konstytuuje człowieczeństwo. Miałem rzadki przywilej rozmawiać z autorem tuż po spektaklu, widziałem emocje, troskę, łzy w oczach, widziałem, po raz pierwszy tak jaskrawo, ile kosztuje twórcę szczerą wobec własnego narodu. Przyszedł mi natychmiast na myśl, opisywany przez współczesnych Stanisław Wyspiański, siedzący w nocy we łzach na krakowskich plantach, bolejący nad tym, jak odległe jest to, co mu w duszy grało, od tego, co ojczyzna mu przed oczyma podsuwała.

Inszenizacja Anny Augustynowicz jest swoistą sumą jej twórczości. Reżyserka konsekwentnie dba o równowagę między wystawieniami dramatów współczesnych a klasyką podaną w nowoczesnej estetyce, w której niezwykle istotne są pytania o recepcję polskiego romantyzmu, spory o jego wpływ na kondycję społeczeństwa, relacje z jednostką, kwestie wolności i uwikłania.

Decyzja o wyborze „Odlotu” na spektakl podsumowujący dyrekturę Współczesnego jest w tym kontekście niezwykle trafna. Otrzymaliśmy perfekcyjne przedstawienie, któremu nadano przykuwającą uwagę dynamikę, spajając ten wybitny tekst w zwartą narracyjnie opowieść z nowatorską formą, znakomicie wykorzystującą projekcje wideo, integralnie wspierające sceniczny przekaz.

Oglądamy zatem Polaków portret własny, który nikogo nie pozostawi obojętnym. Widzimy niekończący się narodowy odlot w sferę, w której „nienawiść jest potężniejsza niż miłość, bo na nienawiść trzeba się zdobyć”. Tymi słowami wita publiczność Grzegorz Falkowski grający postać wieloznaczną, jest bowiem swoistym demiurmem inscenizacji – Inspicjentem, Poetą, Konradem, będąc jednocześnie wewnątrz i poza tą wyimaginowaną wspólnotą. Aktor znakomicie oddaje ironiczno-fatalistyczny dystans niezbyt chętnego twórcy do niezmiennie niesfornego tworzywa. Ta postać, wolny - zniewolony, w plemiennych białoczerwonych barwach na twarzy, spina narrację, a Falkowski, od lat współpracujący z reżyserką, grający w wielu ważnych w jej dorobku przedstawieniach, daje nam kolejną wybitną kreację.

Trzeba jednak z całą mocą podkreślić, że pozostali aktorzy udowadniają, iż w realizacjach Anny Augustynowicz liczy się przede wszystkim zespół. Ten to, prowadzony mistrzowską ręką pokazuje, że nie ma w nim miejsca na słabe punkty. Do jubileuszowego przedstawienia reżyserka zaprosiła wielu ważnych na jej artystycznej drodze twórców, żeby wspomnieć tylko Irenę Jun, Bogusława Kierca, Mirosława Gawędę czy Wojciecha Brzezińskiego, co pozwala cieszyć się półtoragodzinnym majstersztykiem sztuki aktorskiej, bez zbędnego gestu lub słowa.

Szczecińskie przedstawienie jest wyczerpującą, w wielu znaczeniach tego słowa, skondensowaną wivisekcją polskiej duszy ukształtowanej przez dwieście lat martyrologii, dwa wieki powstań, zrywów, narodowych tragedii, apeli poległych, rzadkich zwycięstw i częstych klęsk w kostiumach wiktoria. To bardzo trudne doświadczenie. Jest uwypukleniem, tak różnego od innych nacji, imaginarium, które ukształtowało naród w masie tak specyficzny, nieufny, wsobny w jednostkach, osobny społecznie. Pasażerowie rejsu na lotnisko Północne są zamknięci w kapsule czasu, podróżując niby razem, ale jakże oddzielnie, skazani na dożycie koegzystencji w wielopostaciowym pęknięciu, gdzie rządzi niepodzielnie niechęć, nieuchronnie ewoluująca w nienawiść, obojętność ewokująca pogardę, gdzie mówi się po to aby usłyszeć siebie. Ze ściśniętym gardłem oglądamy scenę chocholego tańca, wspartym korowodem z „Salta” Konwickiego. Postaci w lunatycznej choreografii posługują się kilkoma ikonicznymi w polskiej przestrzeni gestami. Uderzają się w piersi, przyznając się do winy, by w chwilę później, gestem Kozakiewicza, pokazać co o niej myślą. Kreślą znak krzyża deklarując chrześcijaństwo, i zasłaniają oczy nie chcąc go zdefiniować w obliczu zła. Czego oczy... To chyba najbardziej dojmująca metafora spektaklu, ukazująca jednostki na odwiecznym kursie kolizyjnym, podlanym agresywną retoryką i gestykulacją, osadzoną między patosem a groteską. Nikt się stąd nie wyrwie, z tego tumanu rozpostartego między bronowicką a smoleńską mgłą, z kakofonii pretensji i sporów, niecenzuralnych w treści i formie. „Jeszcze Polska nie umarła, Zdycha solidarność, Marność, tylko marność...”. Polskość w imperatywie katastroficznym, kompulsywny odlot w irracjonalia, w nieznanie, nie wyrwie się nikt...

Poeta jest bezradny, zostaje mu już tylko nadzieja uosabiana przez parę siedzącą na widowni. To miód na duszę Konrada. Jak tylko może odwraca oczy od swarliwych pasażerów, powtarzając: „Całują się”, czasem dodaje: „Całowali się, nim jeszcze tu przyszliśmy, i całować się będą, kiedy już stąd odejdziemy”. Ta miłość młodej pary to najprostsza antyteza nienawiści tłumowi w wieku mocno zaawansowanym. Jest lirycznym refrenem tej tragedii w ironiczno-groteskowym kostiumie. W didaskaliach pocałunek jest jednak wzięty w nawias znaczącym przymiotnikiem – rozpaczliwy. Czy to co oczywiste w młodości, między dwójką szaleńczo zakochanych ludzi, da się przełożyć na relacje społeczne, wiele lat później? Czy uczucia szlachetne, zawsze wymagające, nie ustąpią pola tym perfidnym, pozornie popłatnym, gdy wchodzimy w smugę cienia? W finale wspomniana dwójka przenosi się na scenę, ale siada oddzielnie, w sporym oddaleniu. Odpowiedź, a z nią nadzieja zawisa w powietrzu.

Przedstawienie Anny Augustynowicz jest teatrem niepokornym, wtrącającym się kiedy trzeba krzyknąć, nie umyka w refugium sztuki wypranej ze społecznych kontekstów, nienarządzającej się na władcze pomruki niezadowolona. Czyni to jednak fair, bowiem nic z tego co przedstawiono, nie jest, a raczej nie zostało już opowiedziane, wskazane, czasem wytknięte w literaturze, faktu i fikcji, na równych prawach, na przestrzeni tak wielu lat. Trauma odlotu jest bowiem solidnie udokumentowana w puściźnie najwybitniejszych.

Szczecińska inscenizacja to wielki teatr czasu dziejowej próby, kiedy transzeje dzielące naród zostały pogłębione w bezprecedensowy sposób, kiedy narodowa tragedia sprzed 11 lat zamiast łączyć w bólu, dzieli w nienawiści, gdzie znani szatani są tutaj czynni.

„Milczeć głośno czy cicho, oto jest pytanie”. Ta wstrząsająca fraza też jest w sztuce, twórcy jednak nie mieli wątpliwości, przemówili. Taka inscenizacja wymaga wielkiej odwagi, artystycznej i cywilnej.

Czekam na kolejny spektakl Pani Augustynowicz i Pana Fajfera, nie wątpię, że z równie wyjątkowym przesłaniem, świetną narracją i w wyjątkowej estetyce. Czekam z niecierpliwością, może wreszcie do nas dotrze, że lata się po to by wylądować, a lot we mgłę, choćby białoczerwonej, to igranie z losem, ten zaś, jak uczy historia, nieczęsto nam sprzyja...

P.S. Ku pokrzepieniu, z pamięci, więc mogę nieco zniekształcić, jeszcze taki cytat z liberatury:

„A choćbyś nazwał tysiąc płacyków,
Postawił na nich tysiąc pomników,
Nie zagłuszysz syku węża...”

